

I. Wszyscy mężczyźni to ja

Postawmy sprawę jasno: kompletnie, podobnież jak na murarce, ciesiołce, chirurgii, metalurgii, arytmetyce, czy litografii, nie znam się na filmach. Jestem laikiem zarówno jeśli chodzi o ich robienie, wytwarzanie, klecenie z desek, szmat, plastikowych kubków, zbijanie z myśli, butelek po oranżadzie i co tylko w łapy hiperreżyserowi by wpadło, jak i odbiorze; odzwyczaiłem się od telewizora, nie lubię, pogniewałem się na owo pudło.

Do najbliższego kina mam - bagatela - trzydzieści kilometrów. Na komputerze również nie oglądam dzieśiątej muzy, zwyczajnie nie nauczyłem się, nie umiem, nie chcę, nie leżą, nie smakują mi filmy z internetu, są przypsute, ich termin ważności minął tydzień temu, a mimo to chciwy pan sklepikarzyna ciągle trzyma je na półkach, pomiędzy świeżym towarem. Pewnie liczy, że znajdzie się jakiś niedowidzący frajer, kupi, zapłaci jak za pełnowartościowy produkt.

Co mi uwiera i doskwiera w kinematografii? Wszystko i nic - odpowiadam dość wymijająco i cwaniacko, choć tak właśnie czuję - z jednej strony nuży mnie, żenuje, niekiedy oburza swoim żałośnie niskim poziomem, z drugiej zaś - mam świadomość że wina, jeśli w ogóle można rozpatrywać tę kwestię w kategoriach zbrodni i kary, grzechu apostazji, niewiary w sprawczą moc obrazów - leży wyłącznie we mnie, to w odbiorcy coś skisło, sfermentowało, zwarzyło się. Wziąłem rozbrat, wypisałem się z klubu kinomania-ków, stałem się profanem, który nie odróżnia komedii romantycznej od westernu, nie rozpoznałby szmiry czy arcydzieła nawet, gdyby w programie TV, którego zresztą nie ma, jak wół, czerwono na białym było napisane „CHŁAM, NIE WARTO PSUĆ WZROKU”, albo „GENIALNY OBRAZ, MAJSTERSZTYK”. Zignorowałbym recenzje gazety, nie mogąc zlepić własnej, odnieść się w żaden sposób do tego, co widziałem.

Reklama proszku do prania ma dla mnie takie same walory artystyczne co filmy Polańskiego, albo Mastroianniego. Cokolwiek nie zobaczę - będzie sproszkowana czekolada, opiłkami rdzy, niejadalnym tor-tem z betonu. Mój organizm przestał przyjmować filmy, nawet krótkometrażowe, trwające zaledwie parę minut etudy.

Jednak, paradoksalnie, gdzieś z tyłu głowy (co za bzdurne powiedzenie, powinienem przestać go używać!) czuję, że nie miałbym nic przeciwko stworzeniu własnego obrazu, co więcej: niekiedy wręcz nachodzi mnie ochota, by sobie od niechcenia poreżyserować.

Jak już wspominałem - jestem w tej materii nie tyle zielony, co przezroczysty, nigdy nie wykazywałem zainteresowania tą dziedziną sztuki, nic więc dziwnego, że jest mi zupełnie obca. Nie potrafię montować, sklejać ujęć, a - chcąc być mikrotwórcą, amatorem, hobbystą, począć, a może raczej znieść choćby etiu-deczkę, musiałbym umieć, bowiem nie wyobrażam sobie oddania choćby najmniejszej części dzieła, nad jakim bym pracował, w ręce kogokolwiek innego; albo - o zgrozo - zdania się na ślepy i głuchy, bez-mózgi los, przypadek.

Machnięcie ręką na zasadzie „jakoś to będzie” - wykluczone, to przecież pierwszy stopień do piekła - par-tactwa, twórczego infernum, skąd ciężko byłoby wyjść. A kisić się w kotle pod nazwą brakoróbstwo - nie mam zamiaru.

Słyszałem dość niedawno o nieżyjącym już reżyserze, było mu Walerian Borowczyk. Twórca absolutny swoich filmów: reżyser, scenarzysta, scenograf. I to mi się podoba - takie mocne trzymanie steru w łapach. Oburącz. Podobnie robił Antonisz w swych psychokreskówkach, które - jak gdzieś pisałem - bar-dzo lubię. Choć to filmy.

Jeśli miałbym stanąć za kamerą, bez wątpienia - cokolwiek bym stworzył, choćby i wizualny odpowied-nik grafomanii, antysztukę, spartoleństwo kompletne, wiem jedno: byłoby to od początku do końca moje,

ja i tylko ja odpowiadałbym za ową katastrofę.

Reżyserska ciura, adept bez jakiegokolwiek wprawy, nieobyty przedszkolak sztuki filmowej z początku miałby przessane - jak to mawia młodzież w swym slangu, chcąc za wszelką cenę uniknąć wulgaryzmu, znajdując jego kuriozalny odpowiednik.

Miałbym przekichane i przerąbane, zmagając się z zupełnie obcą dziedziną. Prawdopodobnie, choć nie przesadzam, bo różne cuda się zdarzają, poległbym już na starcie, poddał się po nakręceniu zaledwie pierwszej sceny.

Widzę to oczyma wyobraźni: mały Florciu w krótkich spodenkach, z lizakiem w dłoni zanurza się w cyfrową toń. Otwiera buzię ze zdziwienia widząc podwodne cudowności: aktorów o żaglach na grzbiecie, amantów ze skrzelami uwodzących syreny o błyszczącej łusce, pletwiastych statystów. Obcy, dotąd nieodkryty świat odsłania przed dzieckiem swe tajemnice.

Szkrab o błękitnych oczach patrzy urzeczony ma leżące brzuchami do góry wraki trałowców, na wpół przełamane żebra Titaniców, Wilhelmy Gustloffy, na pokładach których tańczą pokryte drobnymi muszlami, planktonem i całym tym morskim syfem, jakiego pełne są wody, duchy pasażerów. Każdy zdaje się być pogodzony z losem, który skończył się parę dekad wstecz. Przywykli, nie mając innego wyboru, do nie-życia, wrosli w śmierć. Wręcz celebрую ją, jakby była świętem, tańczą stypie kankany, tarantelle, mrugają oczodołami do małolata, jakby chciały powiedzieć: „Chodź do nas, najlepsze imprezy odbywają się w życiu pozagrobowym, nie dowiesz się co to taniec, póki nie umrzesz; będąc ciepłym i pokrytym mięsem nigdy nie odprężysz się na całego, najdojrzałej i najdoskonalej; zawsze coś - dom, praca, rodzina, kredyt hipoteczny, albo wspomnienia, będą cię krępować i ograniczać. No wyjdź do nas, mały! Uduś się, opij słoną wodą. Wsiąknij w ten rytm, brak konsekwencji, trosk, dołącz do nas! Mamy tu jak w raj, o nic się nie kłopotujemy. Na co czekasz? Zanurz się w beczas!”.

Śmieją się, kościotrupy. Nawet ryby przepływające między ich obgryzionymi do cna żebrami zdają się być w dobrym humorze. Panuje nastrój dziwnej, nieuzasadnionej wesołości.

W ten oto sposób postrzegam swój ewentualny debiut: ja sam przeciwko chmurom, wystawiony na pokuszenie, by rzucić w diabły nierozpoczętą pracę, wabiony przez siły nieczyste: zniechęcenie, brak ambicji, wreszcie: nieopierzony, zdzieciniały, nie potrafiący mówić w swoim własnym języku, próbujący go stworzyć. Ja-przegraniec, indolent, któremu nie ma kto (za darmo, rzecz jasna; za odpowiednią zapłatę pewnie znalazłoby się co najmniej paru nauczycieli) podstawowych zagadnień. Dwuleworęki Florek-nieudacznik, któremu wichler ciągle wieje w oczy, a wiedza jakoś sama nie chce wskoczyć do głowy.

A, należy pamiętać, że jeden fałszywy krok - i leżę na całej linii, wtapiam fundusze, których i tak nie mam, kładę film nawet go nie rozpoczynając. Ja-wszechkazieli psujący wszystko, co w niewprawne łapki wpadnie, chuligan w swetrze utkany ze sprutych arrasów wawelskich, mający na głowie kaszkiet wyścielony kartkami wydartymi z Codexu Gigas, przyznając: bez elementarnej wiedzy, nawet zaopatrzony w niezbędny sprzęt (ciekawe, skąd go wezmę!) bałbym się podjąć wyzwania. Ale chcę, czuję, że jest mi ono pisane, że film, o którym tyle tu truję, czeka na mnie, wisi gdzieś w próżni, może za ścianą, albo w sąsiednim województwie, i chce, bym go nakręcił, sfinalizował. Ożywił. Wypełnił sobą. Powołał do życia. By nie był już niedozaistniałym trupem, zamysłem-zombie, straszącym po nocach wracających późno z imprezy absolwentów szkół filmowych.

Ale do rzeczy. Muszę się streszczać, za bardzo odbiegłem od tematu, odzeglowałem w nieznane („dryf” jak ze Sposobu na Alcybiadesa się przypomina). a to grozi osiądciem na mieliznie.

Po pierwsze: dziewczyna. Kobieta. Biała i czysta, czarna i utkana z radioaktywnej pajęczyny. Mówię ci na ty, bo cię wymyśliłem, stworzyłem z cyfrowego prochu, córeczko i żono, nieznana kuzynko, matko i znienawidzona teściowo.

Jesteś wielokrotna, powszednia i odświętna, malowana roztopionym bursztynem, ciekłym złotem i płynnym diamentem, opisywana przedwiecznymi piórami marki Parker, Waterman, kreślona najtańszymi długopisami po trzydzieści pięć groszy za sztukę. Święta, wielooka, żeński Światowid.

Leżysz na skórzanej wersalce. Otomanie, kanapie, szezlongu. Mało ważne. Leżysz naga, patrzysz w sufit. Ostre i twarde, sterczące sutki, rozpuszczone włosy dowolnego koloru. Ty, wielobarwna pośród szarości, w czerni i bieli, filmowana jedynie w trzech barwach. Więcej nie trzeba.

Chłodno, skromnie, minimalistycznie. Pomieszczenie, w którym się znajdujesz - ni to cela zakonniczy klauzurowej, ni to piwnica. Spękane ściany, na których próżno szukać najmniejszego choćby obrazu, zdjęcia. Tylko rysy, wyłobienia, blizny.

Wisi nad tobą lampa. Nie taka do radioterapii, walki z rakiem, emitująca promieniowanie rentgenowskie. Na szczęście na nic nie chorujesz, kochana.

Jest to trójka lampa operacyjna, zabiegowa. Patrzy na ciebie, dziwne stworzenie. Zniża się. Czujesz jego zimny oddech. I wchodzi w głęź, przenika, wżera się w ciało.

Gdzie w tym czasie znajduję się ja? Stoję za kamerą? A skąd!

Jestem ową lampą, lodowatą i sterylną, zwierzęciem pozbawionym uczuć i zarazem przedmiotem. Niszczę, kaleczę i zwiedzam, penetruję.

Po drugie: pochwała mutowania. Poważnie: niech żyją uskoki myślowe, nagłe zmiany kadru, odbieganie od tematu.

Zostawiam cię, kochana, w jakże nieprzyjemnym miejscu. Leż w owej norze. Nie dogorywaj, przebita lampą jesteś silniejsza, niż kiedykolwiek. Masz w sobie ładnych parę kilogramów metalu i plastiku. A w każdym drzemie ukryty, wpisany, wgrany mężczyzna.

Nasz film urywa się po zaledwie pierwszej scenie. Taśmie wyrastają rogi, kopyta, kartki, zęby i okładki. To dzieło-owoc wszechsztuki, wizualny mutant. Etiuda, którą można pogłaskać, przeczytać, okiełznać. Albo przekłuć szpilką, przebić torreadorską lancą. To byk poświęcony bogini, epigramat, pierwsza część Sagi o Ludziach Bez Idei. Otwórz na oścież wszystkie zmysły, a zrozumiesz go w pełni, odkryjesz, dlaczego mógł istnieć wyłącznie jako twór wielopostaciowy, fragmentaryczny, niczym teledysk. Zdziwi cię jego ukryta spójność.

Rozchyl wargi. Szerzej. A teraz wysuń język. Nie bój się - to nic obleśnego. Czujesz ten smak? Kwaskowaty i szczypiący. To druga zwrotka mojej filmowej litanii.

Zaczyna się od widoku obrazu Kobieta z deltoidem (olej, artysta nieznany, 1986).

Galeria-nie galeria, może burdel, w którym na ścianach są prezentowane prace co bieglejszych w sztuce malowania prostytutek. Albo opuszczony budynek kościoła Pastafarianizmu, byłych czcicieli zjedzonego boga.

Para stoi przed płótnem. Gapią się? Nieee... kontemplują, liżą oczami, próbują pojąć, co do jasnej ciasnej twórca miał na myśli.

On - inkurablista, znający na pamięć wszystkie nieuleczalne choroby (sam bywa jedną z nich).

Jego partnerka - oszustka, obrośnięta od wewnątrz kolcami i pancerzem, zbroją nie do zdjęcia, wieczna dziewica, której hymen-jeżozwierz okaleczył już niejednego śmiałka, frajera chcącego odbyć z nią stosunek. Cnotka-niewydymka raniąca palce do krwi podczas codziennych prób samozaspokojenia. Blaszana dama o plastikowym charakterze i moralności z piryty, złoto dla naiwnych, Gorgona z głową praśnej polskiej Barbie, mateński słowiańskiej, zarazem - seryjnej morderczyni.

Co widzicie? Ostre linie, krawędzie niemal wrzynające wam się w gałki oczne. Żółte, tandetne ramy. Farbę w kształcie uśmiechniętej facetki (ma wulgarny ryj, nie twarz, ale właśnie ryło, mordziakę jak u siedemdziesięcioletniej alkoholiczki i narkomanki).

Ten obraz to muzyka. Weźcie głęboki wdech, a do waszych uszu dotrze wrzask Daniego Filtha, wrzask umierających ze starości Tupaców i Notoriusów B.I.G., śmiech obdzieranych ze skóry Sław Kwaśniewskich. Usłyszycie, jak na stosie ofiarnym skwierczy ta od słońca w całym mieście.

Ten obraz żyje, niedługo wyjdzie z ram. Nie widziałeś tego jeszcze.

- Co sądzisz? Bohomaz. Chyba...

- Czy ja wiem? Jakby było jaśniejsze... - дума wszechtruciciel (domyśliłaś się już, że gram go właśnie ja?)

Przyznaj - nie było to trudne).

- Sztuka współczesna. Na trzeźwo i bez dragów - nie rozbieriesz.

- Zdegenerowane. Niedobrze się robi od samego patrzenia. Co za brakorób...? A, patrz - sam malarzyna wstydził się tego, tfu, dzieła, że nawet go nie podpisał. - Ręce obcinać za takie partactwo. Przy samych uszach, tak, by z człowieka nie zostało nic, prócz łba. W zasadzie - mogą być same usta. By przepraszały dośmiertnie za wybryki rąk żalostnego kaboty. Resztę ciała można by oddać na pożarcie psom, albo do ZOO, dla lwów. Taka kara nauczyłaby gniociarzy, szmirotwórców, jeden z drugim pięćdziesiąt osiem razy by się zastanowił, zanim by sięgnął po paletę i pędzle...

- Jak dla mnie - sensowne polskie malarstwo kończy się na obrazie Madonna i żigolak, tego, jak mu tam... Potem to już tylko muł, ryby wyżerające sobie z pysków jeden pomysł, szakale wydzierające sępom zeszłoroczną padlinę... - mądrzy się pani jeź.

Po trzecie: lep na myśli. Krążą u sufitu, po czym giną z głodu przyklejone do taśmy filmowej, jaką przewiesiłem przez ramiona żyrandola.

Słuchajcie, widzowie, jak jęczą na chwilę przed zdechem, zeschnięciem się na wiór, kolejne kadry efemerycznego filmu.

Czy zjawi się ktoś skłonny uratować owo zwierze ze śmiertelnej pułapki?

Halo, czekamy na ciebie sponsorze - brzęczę z offu. Wielogłosowo. Każdy owad to przecież ja. Na tym polega sztuka filmowa, magia, iluzja: by doszywać sobie skrzydła, ciągle pozostając nielotem.

II. Nieboskupienie

Myśli mi się o siedemnastoletnim perkusiście heavy metalowego zespołu Cemater, który to w roku mojego urodzenia, roku Czarnobyli przypadkowo powiesił się podczas magicznych rytuałów/czarnej mszy - teraz będzie najlepsze - podobno celebrowanej przez jego... babcię. Tak, babunię kochaną.

Ja pierdzielę - trudno o głupszą śmierć. Ta historia nadaje się do mojego filmu.

Chodź, biedaku - zapraszam nastoletnie zwłoki kindersatanisty. Usiądź pomiędzy kłatkami, wtop się w taśmę. Potrzebuję takich jak ty nieszczęśników, którym przydarzyła się głupia i bezsensowna śmierć, mieli nieszczęście umrzeć delikatnie rzecz ujmując niestandardowo.

Pościli im się, kochanie - tu zwracam się do mojej dziewczyny - w dużym pokoju na trzecim piętrze naszego parterowego domu, pomiędzy chmurami.

Wbijam w niebo palec wskazujący. I matowieje, krzepnie świetlista czasza nad nami. Staje się ciałem stałym.

Przychodzi mi na myśl termin słońcoskłon, neologizuję, choć mam nienajlepszy humor.

Przeciągam paznokciem po miedzianej powierzchni, żłobię koryta przyszłych rzek. Płynicie nimi, laureaci Nagrody Darwina, śmiałkowie, którym zdawało się, że wejdą w klapkach na szczyt Kanczendzongi, amatorscy kaskaderzy spaleni na żużel we wrakach rzechów, o zmiażdżonych w wypadkach bezmózgich głowach.

Pozwól im wejść, kochana. Niech myślą nami, niech bawią się w nas. To tylko niemy film, a my jesteśmy planszami, na jakich zapisuje się listy dialogowe. Potrzebujemy bohaterów miejskich legend, dzielnych bezdomnych lumpów po zmroku przeistaczających się w herosów, Slendermanów i Wonder Women. W ekranizacji naszego życia muszą wystąpić strzygi, yeti, topielice, całe stada wielkookich, spokrewnionych z lemurami bóstwek. Ich zadaniem będzie przeistaczanie się w nas.

Mnie na przykład zagra pięćsetletnia Baba Jaga, tobą będzie kilkudziesięciu krasnoludków, Set i dziwożona.

Chodźcie, egipscy, sumeryjscy i azteccy bogowie, staniecie przed jednym z najtrudniejszych zadań: zagracie czas; nie jego personifikację - Chronosa, ale upływ chwil, powolne umieranie, wszechstarzenie. Spróbujcie wcielić się w przemijanie, komiczni bohaterowie opowiadań pornograficznych, ofiary wy-

padków komunikacyjnych, zbrodni wojennych, masowych mordów dokonanych bez cienia powodu. Bądźcie lekarstwem na rozum i stateczność, wyzwoliciele z okowów logiki, sztukmistrzowie w lśniących pelerynach, pożeracze komet, antyrzeczowi wybredurcy losów, fałszywi kombataneci, inni tchórze jak ognia bojący się luster, aparatów fotograficznych, kamer i podawania prawdziwego nazwiska, właściciele sfalszowanych dowodów osobistych, metryk i praw jazdy.

Udaję się z wami na wieloletnią emigrację od samego siebie, zrzucam wylinkę - taśmę filmową, do plecaka pakuję najpotrzebniejsze rzeczy: litr bimbru z makówek, dynamo pochodzące jeszcze z roweru pradziadka (nie wiem, po co ciągle trzymam je w szufladzie, chyba popełniam zbrodnię sentymentalizmu, grzech nadmiernego przywiązania do przeszłości i rzeczy, materialistyczne wykroczenie przeciwko wolności), pożółkłe książki kucharskie, na kartkach których nadzarcie przez mole szefowie restauracji radzą jak najlepiej i najsmaczniej upichcić łasicę, borsuka, czy kangura, skunksa w sosie cudzym, albo nornice; odznakę Zasłużony Outsider III RP, konserwy turystyczne, jakie comiesięcznie dostaję z GOPSu w ramach programu dożywiania bezrobotnych literatów-alkoholików, kilogramy esperali, anticoli, zasuszone i zminiaturyzowane na Borneo głowy co słynniejszych polskich narkomanów i syfilityków.

Zabieram w drogę podpieprzone z okolicznej apteki lekarstwa na choroby, które można przywleć z Księżyca, albo Wenus (nocny haj potrafi zaprowadzić człowieka nawet w najodleglejsze galaktyki, pod drzwi pałacu prezydenckiego, albo do przycmentarnej kaplicy).

I teraz - co? Potulnie przed siebie, nóżka za nóżką?

Jasne, że nie. Wiosłuję przez grynszpanowe niebo w poszukiwaniu najczystszej błagi.

Nie wystarczy mi już własna, całkiem skromna i pocieszna nieprawda, kłamstwunio. Chcę esencji, domagam się ekstraktu, zasługuję na najjadowniejszą z występujących w przyrodzie ściem. Niech będzie to słowo "kocham" wypowiedziane przez kata na chwilę przed wykonaniem wyroku śmierci (pętla z drutu koleczastego jest dość niewygodna, wrzyna się w szyję, partaczu!), obietnica życia pozagrobowego, przebieg aut z najbliższego komisju, czy data przydatności do spożycia kielbasy, którą wczoraj kupiłem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 05.06.2018 11:05

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.